

– Do pana Leduc. Jest to człowiek prawy i uczciwy, nie może cię tam spotkać nic złego. Jest przytem moim najlepszym przyjacielem.

– Czy to jednak możliwe?

– Więc wolisz tu pozostać, tu, gdzie, jak sama mówiłaś...

– Nie, nie, Jerzy... tylko to, co mi proponujesz, jest krokiem bardzo ważnym. Pozwól mi się namyśleć jeszcze, proszę cię.

– Gilberto, nie ma czasu do długich namysłów! Jutro może już być zapóźno!

– Nie! Nie! Jerzy! Błagam cię, posłuchaj mnie... Ten człowiek, o którym mówiś, był dobrym dla mnie, wiesz o tem, temu zaprzeczyc nie mogę. On to wyrwał mnie z tego środowiska, gdzie byłabym zginęła już zapewne. Pomyśl tylko, co by się było stało ze mną, gdyby nie on! I nie byłabym ciebie poznała, Jerzy! Nie byłabym poznała twojej miłości! Czy mogę wobec tego okazać się tak niewdzięczną i opuścić go teraz? Nie! Nie, Jerzy! To niemożliwe! Pozwól mi rozmówić się z nim, wyznam mu wszystko, wyznam mu mój smutek i niepokój, bo przecież on nie zechce mojego nieszczęścia. Tyle razy starał się mnie usilnie przekonać, że żyje tylko myślą, aby mnie uczynić szczęśliwą.

– A jeżeli on kłamał?! – zawołał gwałtownie młody człowiek – jeżeli on cię oszukiwał i okłamywał tylko? Cóżbyś wówczas uczyniła, Gilberto?

– Pójdę za radą twoją, Jerzy, i prosić cię będę, abyś mnie zaprowadził bezzwłocznie do twojego przyjaciela, pana Leduc.

– Przrzekasz mi to, Gilberto?

– Przrzekam na miłość naszą.

Wyraz pewnej ulgi ukazał się na twarzy młodego człowieka, pozostał jednak dalej zamysłony i smutny.

W tej chwili na pobliskim zegarze wybiła godzina druga.

– Już druga! – szepnęła Gilberto – Nie możesz dłużej pozostać, Jerzy.

– Odpędzasz mnie od siebie! – wyrzekł z żalem młody człowiek.

– Tak trzeba... tak być musi.

– Ależ pułkownik nie powróci tej nocy. Jest zanadto zajęty zabawą, jaką wydaje. Musi się do końca zająć swoimi gośćmi. Czegóż więc lękasz się?

– Nie wiem, doprawdy... Ta dzielnica jest tak pusta, tak ponura...

– To jeszcze jeden powód więcej, abym pozostał z tobą. Nie sprzeciwiaj się, Gilberto, i nie mąć tej chwili. Czyż nam nie dobrze ze sobą?

Za całą odpowiedź młoda dziewczyna ujęła rękę Jerzego i uściśnęła ją mocno, patrząc w twarz jego rozbłysłymi od szczęścia oczami.

– Muszę teraz często cię widywać – podjął po chwili młody człowiek – Mogę przychodzić wieczorem i nikt tego nie spostrzeże. Oddalona ta i pusta dzielnica sprzyjać będzie bardzo naszym schadzkom. Czy zgadzasz się na to, Gilberto?

– Pragnę tego na równi z tobą – odpowiedziała z prostotą – ale musimy być bardzo ostrożni.

– Ah! Gilberto! Gdybyś wiedziała, jak pragnę gorąco tego dnia, w którym cię nazwę na zawsze moją i będę mógł otoczyć opieką i staraniem.

Długą jeszcze chwilę rozmawiali na temat wspólnej ich przyszłości, zapominając, gdzie i w jakich warunkach się znajdują.

Nagle Gilberto drgnęła silnie i powstała z wyrazem silnego lęku w oczach.

– Co ci jest, Gilberto? – zawołał Jerzy, chwytając jej rękę – Skąd ten przestrah nagły?

– Czy nie słyszałeś? – szepnęła – Tu w ogrodzie, pod oknem, kroki jakieś...

– Nie, nie słyszałem... pomyliłaś się... to pewnie wiatr szumi w drzewach.

– Nie! Nie! Jestem pewna, nie mylę się, Jerzy! To on! To napewno on!

– Pułkownik?

– Tak, to on! Mój Boże! Cóż się teraz z nami stanie? Co robić! Ah! Jerzy! Uciekaj! Uciekaj prędko, bo stanie się nieszczęście!

– Przeciwnie, pozostanę, Gilberto! – odparł młody człowiek stanowczym głosem.

– Jerzy! Przez łitość, nie upieraj się! Czy nie widzisz, co się ze mną dzieje? Ktoś nas zdradził! Ktoś mu powiedział, że jesteś teraz przy mnie! Co robić! Co robić, mój Boże! Błagam cię! Nie możesz tu pozostać ani chwili dłużej! Uciekaj!

– Ależ, Gilberto...

– Jerzy, zaklinam cię na naszą miłość! Nie dręcz mnie dłużej. Ja się tak boję! Tak strasznie się boję! Uciekaj! Uciekaj! Może jeszcze zdążysz się wysunąć tak, aby cię nie ujrzał! Oh! Boże mój! Już zapóźno!

Drzwi się w tej chwili otworzyły i na progu pokoju stanął pułkownik Robert. Twarz miał bladą, spokojną. Szybkim krokiem podszedł do młodej dziewczyny, nie zdając się zwracać uwagi na jej towarzysza i, biorąc jej rękę, wyrzekł łagodnym, proszącym głosem.

– Gilberto, moje dziecko! Oprzeź się na moim ramieniu i uspokój się! Drżysz cała! Czyż nie mówiłem ci tylekrotnie, że kocham cię jak dziecko rodzone i że życie moje wiąże się z pragnieniem twojego szczęścia? Nie lękaj się więc i pozwól mi działać!

– Gdzie mnie pan prowadzi? – zapytała młoda dziewczyna. – Ja chcę tu zostać.

– Obecność twoja tutaj, w tej chwili, nie jest stosowna. Zrozum to, a zresztą nie odbędzie się w tym pokoju nic takiego, co by cię mogło zaniepokoić. Możesz mi zaufać, Gilberto.

– Przysięga mi pan, że...

– Tak, moje dziecko, chodź więc i nie przedłużaj dobrowolnie tej sytuacji, która jest przykrą dla nas wszystkich.

Młoda dziewczyna, uspokojona teraz zapewnieniem, dała się uprowadzić, nie śmiejąc nawet spojrzeć w stronę Jerzego.

Przechodząc obok niego, pułkownik Robert przystanął na sekundę i rzekł żywo:

– Oddalam się na chwilę. Mam nadzieję, że za moim powrotem będę miał przyjemność zastać tu jeszcze pana.

– Może pan na to liczyć – odparł Jerzy, prostując się dumnie. – Być może, że więcej jeszcze od pana pragnę stanowczego i decydującego wyjaśnienia...

– Składa się to bardzo szczęśliwie! – zaśmiał się ironicznie pułkownik, kierując się ku wyjściu.

Nieobecność jego nie trwała długo, tak, jak to był zapowiedział, bo w parę minut później zjawił się z powrotem spokojny, ale bleśszy jeszcze, niż przedtem.

– Nareszcie jesteśmy sami – wyrzekł przerwany głosem. – Żądam od pana wytłumaczenia z tej nieoczekiwanej nocnej wizyty, która wydaje mi się dosyć podejrzana. W jakim celu pan tu przybył?

– Czy tego pan odgadnąć nie może? – odpowiedział drwiąco Jerzy.

– Ah! Proszę pana! Dosyć tych żartów!

– Nie żartuję wcale, zaręczam panu. Wiadomo panu przecież, że kocham Gilbertę i przyszedłem tutaj, aby się z nią zobaczyć.

– Niech i tak będzie, ale pozwól pan sobie powiedzieć, że ta swoboda pana wcale mi się nie podoba i że stanowczo zamierzam ją ukrócić. Tym razem jeszcze będę wyrozumiałym, ale gdyby te wizyty powtarzać się miały...

– Cóż byś pan uczynił? – zapytał spokojnie Jerzy, patrząc prosto w twarz pułkownika.

– Zabiję pana – odparł tenże zimno i powoli.

Jerzy wzruszył ramionami.

– Co znowu! – rzekł żywo. – Zapomina pan, że nie żyjemy już w czasach, ułatwiających podstępne morderstwa. Zechce się pan zastanowić nad tem i zapamiętać, że podobnych pogroźek nie zleknie się wcale. Jak dotąd, jestem w swoim prawie i oznajmiam panu, że dokąd nie przedstawi mi pan jawnych dowodów swojej prawnej władzy nad Gilbertą, użyję wszelkich sposobów, jakimi tylko rozporządzać będę w stanie, aby ją ustrzedz przed losem, jaki jej pan gotuje.

– Czy to ostatnie pana słowo?

– Ostatnie.

– Niech się pan strzeże.

– Przed czem? Kocham Gilbertę i wiem, że posiadamy jej wzajemność. Jakaż może być przeszkoda w połączeniu się naszym? A zresztą, kimże pan sam jesteś, abyś przemawiał do mnie w ten sposób! Ojcem jej? Krewnym, przyjacielem może? Wątpię w to bardzo... Panu się zdaje może, że ja nie wiem nic? Otóż myli się pan! Ja wiem, że pewnego dnia zabrałeś ją od rodziny, w której żyła i ukryłeś tajemniczo w tym pensjonacie, w którym ją poznałem. Jakież są dalsze pana zamiary co do niej? Co pan chce z niej zrobić? Czy jej to pan kiedy jasno wypowiedział, ośmielił się zdradzić? A więc, powtarzam panu, użyję w całej pełni prawa, nadanego mi przez Gilbertę samą, a pogroźki pana

w niczem zamiarów moich zmienić nie są w stanie. Chciałbym, żeby to pan raz na zawsze dobrze zrozumiał i przyjął do wiadomości.

W oczach pułkownika zabłyśły dwie błyskawice gniewu, a twarz ściągnęła się w skurczu nerwowym. Szybkimi krokami zaczął przebiegać pokój, potrącając meble i stołki.

– Pan nawet sobie zdać sprawy nie może, na co się naraża temi zuchwałymi słowami – wybuchnął po chwili. – Jaką nienawiść i gniew roznieca pan przeciw sobie. To istne szaleństwo! Strzeż się, powtarzam, strzeż się, bo za chwilę może nie będę już zdolny zapanować nad sobą i zabiję cię. Słyszysz, zabiję jak psa, który mi się niepotrzebnie płacze pod nogami!

Ale widząc, że Jerzy z niewzruszonym spokojem uśmiecha się, mierząc go pogardliwym spojrzeniem, przyskoczył do niego i, potrząsając brutalnie za rękę, zawołał, dusząc się od wściekłości:

– A więc nie! Nie na tobie zemszczę się! Nie na tobie! Bo cóż mi po twojem życiu! Tylko ona! Ona jedna odpowie mi za swoją uległość!

– Gilberta?

– Tak, Gilberta! Ona jest w moich rękach, pod moją władzą! Mogę z nią uczynić, co tylko zechcę! Jeżeli ty, lekkomyślny szaleńcze, upierać się dalej będziesz, to...

– Podły nędzniku!

– Broń się! – syknął pułkownik. – Lepiej zakończyć od jednego razu.

Jerzy, osłepiony rozpaczą i gniewem, skoczył naprzód z ręką do góry wzniesioną, nie wiedząc, że w tej samej chwili przeciwnik jego zręcznym ruchem wyjął rewolwer z kieszeni, nabił go i wymierzył...

Chwila była groźną... Jeden ruch, jedno słowo mogło zadecydować o życiu lub śmierci młodego człowieka... Ale nagle ręka pułkownika, trzymająca broń nabitą, opadła bezwładnie, a on sam stanął nieruchomy, nadsluchując...

Ktoś pukał do drzwi pokoju.

Któż to mógł być – o tej porze?

Pułkownik Robert, nie namyślając się, skoczył, aby otworzyć i cofnął się, wydając okrzyk zdumienia.

W drzwiach stał Cypryan Leduc, uśmiechając się dobrodusznie, jak gdyby nic nie wiedział o scenie, co dopiero rozegranej o kilka kroków od niego.

– Przepraszam najmocniej, panie pułkowniku – odezwał się uprzejmie. – Byłbym doprawdy zropaczony, gdybym w czem przeszkodził panu, ale pragnę koniecznie pomówić z panem w ważnej sprawie... a nie mogę odkładać tego na później...

– Pan chce ze mną pomówić? – zapytał wzburzonym głosem pułkownik Robert, całą siłą woli starając się zapanować nad nurtującą go wściekłością.

– I to natychmiast... Rzecz najwyższej wagi... Sądzę, że nie odmówi mi pan kilku chwil rozmowy – odparł stary archiwista i, zwracając się do Jerzego, dodał serdecznie: – Zechciej nas pozostawić samych, moje dziecko. Wracaj spokojnie do domu, a jutro o wczesnej godzinie bądź tak dobry zjawić się w moim biurze, bo będę miał i tobie ciekawe rzeczy do zakomunikowania.

Jerzy bez wahania przychylił się do woli starego archiwisty. Wyczuł intuicyjnie, iż przybył on rozmyślnie uratować go przed grożącym mu niebezpieczeństwem i oddalił się bez słowa, rzuciwszy mu tylko wymowne i wdzięczne spojrzenie.

Pułkownik Robert zaś, po wyjściu młodego człowieka, podszedł szybko do Cypryana Leduca i zapytał nakazującym tonem:

– A teraz może zechce mi pan powiedzieć, co to wszystko znaczy, bo dotąd nic a nic nie rozumiem.

– To znaczy, panie pułkowniku – odparł z powagą stary archiwista – że gdybym szczęśliwie nie był nadszedł na czas, stałaby się tu potworna zbrodnia, a bardziej niebezpieczna dla pana, niż wszystkie inne, dotąd popełnione. Myślę, że mnie pan dostatecznie już rozumiał, nieprawdaż?

Pułkownik zadrżał silnie i zdumionym spojrzeniem objął mówiącego.

– Słowa pana są dla mnie dziwnie niezrozumiałe – odrzekł, siłąc się na ton zimny i ironiczny – Nie lubię zagadek i dlatego proszę pana o jaśniejsze określenie swoich myśli.

(Ciąg dalszy nastąpi.)